

# MAJTKI NA SŁOŃCU

REGINA RODRÍGUEZ SIRVENT

# MAJTKI NA SŁOŃCU



REGINA RODRÍGUEZ SIRVENT

# MAJTKI NA SŁOŃCU

Z katalońskiego przełożyła  
Barbara Bardadyn



TYTUŁ ORYGINAŁU:

*Les calces al sol*

Redaktorka prowadząca: Marta Budnik

Wydawczyni: Monika Rossiter

Redakcja: Anna Poinc-Chrabąszcz

Korekta: Małgorzata Lach

Projekt oraz ilustracja na okładce i wyklejce: Nikola Hahn

DTP: pagegraph.pl

Copyright © 2022, Regina Rodríguez Sirvent

c/o MB Agencia Literaria S.L. through

Book/lab Literary Agency

Copyright © 2025 for the Polish edition by Wydawnictwo KobiECE

Agnieszka Stankiewicz-Kierus sp.k.

Copyright © for the Polish translation by Barbara Bardadyn, 2025

Wszelkie prawa do polskiego przekładu i publikacji zastrzeżone. Powielanie i rozpowszechnianie z wykorzystaniem jakiejkolwiek techniki całości bądź fragmentów niniejszego dzieła bez uprzedniego uzyskania pisemnej zgody posiadacza tych praw jest zabronione.

Wydanie I

Białystok 2025

ISBN 978-83-8371-700-5

Grupa Wydawnictwo KobiECE | [www.WydawnictwoKobiECE.pl](http://www.WydawnictwoKobiECE.pl)



Mojemu ojcu za wiarę w marzenia  
Mojej matce za to, że wspiera nas wszystkich  
Mojemu bratu za całe życie  
Koeman za to, że istnieje  
Guillemowi za magię  
Nordowi za nieskończoność  
Brucowi za eksplozję światła



Kretsingerom-Waltersom za to, że stali się moją rodziną  
Akselowi, Evie i Biniemu, bo nigdy nie zdołam oddać  
im sprawiedliwości  
Lidii za wielką przygodę  
Clari za przybycie: Wielki Kanion zawsze będzie nasz  
Britt Dean za spotkanie

Podobieństwo do prawdziwych postaci  
nie jest czysto przypadkowe.  
Co jest prawdą, a co nie, nigdy się nie dowiemy.  
Ale nie jest to znowu takie ważne.

# CZĘŚĆ PIERWSZA



## NEONOWY SZYLD

– A ty skąd wiedziałaś, że chcesz być depilatorką?  
Pam się skupia. Gorący płynny wosk spada mi na udo. Przewiduję poparzenie drugiego stopnia.

– Zostałam projektantką estetyczną – podkreśla słowo „projektantką” – bo ze wszystkich kuzynek najlepiej chesałam ciocię Paquitę. – Dmucha. – Jeszcze parzy?

– Strasznie, Pam, strasznie parzy... Poza tym jutro mam szalenie ważną randkę i wygląd mojego uda będzie kluczowy...

(Tak naprawdę to nie wiem, czy mam tę randkę, bo od dwóch dni czekam na wiadomość i nic).

– Doooobra, dziewczyno, nie histeryzuj, takie poparzenie to nic wielkiego. Dam ci jedno euro zniżki.

– Kiedyś powinnaś mi to zrobić gratis, w hołdzie dla całej epidermis, jaką zostawiłam na tej leżance.

– Oj, dziewczyno, „epidermis”, po co od razu takie techniczne słowa? Wydepilować ci ręce?

– Mówiłam ci już setki razy, że nie, Pam. Nie wystarczy ci reszta ciała? Przecież nie jest tak źle.

– Nie jest tak źle? Tak ci się wydaje, bo ta szczecina nie jest akceptowalna nawet na głębokiej prowincji w Pakistanie.

– A więc wiedziałaś, jakie jest twoje powołanie, bo dobrze chesałaś ciocię Asunsion?

– Ciocię Paquitę.

– Paquitę. I tyle?

– Aj, Rita, ależ ty jesteś męcząca. Tak, kiedy byłam mała, lubiłam czesać lalki, moje siostry i ciocię Paquitę.

– Aha...

– A kiedy dorosłam, po prostu było to dla mnie oczywiste. Pewnego dnia uświadomiłam sobie, że to zawsze było moim powołaniem. Pojawiło się niczym neonowy szyld. Projektowanie estetyczne podobało mi się, odkąd nawilżałam włosy Barbie pływaczce i robiłam przeszczep włosów Kenowi.

– Ken jest łysy? – Nie wiem nic o świecie Barbie.

– W moim domu był łysy, nie zadawaj więcej pytań. A tak w ogóle to dlaczego mnie o to pytasz? Chyba kończysz teraz studia, co?

– Widzisz ten papier, na który kapnęłaś woskiem z włosami z mojej pachwiny?

– Tak.

– No więc jest to kwitek, którego potrzebuję, żeby dostać ocenę z angielskiego, ostatnią. Jeśli zaliczę, będę magisterką.

– Oł maj god! Magisterka! Farmaceutka!

– Psycholożka.

– O rany! Szaleństwo! Tylko mnie nie diagnozuj, okej? Zawsze miałam takie paznokcie, okej? No dobra, tak naprawdę to nie, moja mama...

– Pam, spokojnie, to tak nie działa. Poza tym nie zamierzam praktykować. Poszłam na psychologię, żeby skończyć jakieś studia, bo nie wiedziałam, co chcę robić w życiu... i tyle.

– I?

– I po skończeniu studiów wciąż nie wiem.

– No i?

– No i nic, żadnego powołania. Będę musiała poszukać tego neonowego szyldu, o którym mówiłaś.

Pam wykonuje ostatnie śmiertelne pociągnięcie, zrywając trzy warstwy skóry. Ronię łzę, ale dziewczyna pozostaje niewzruszona.

– A przy okazji, Pam, ty nie masz na imię Dolors?

Wychodzę na ulicę, ledwo radząc sobie z suchym tarcim spodni o skórę. Ale boli. Czerwcowe słońce chowa się za puszystą chmurą, a ja idę przez główny plac Uniwersytetu Autonomicznego, dając się nieść euforii typowej dla ostatniego tygodnia semestru. Krzyki, śmiechy i zdjęcia do dyplomu pod pachą. Spoglądam w niebo, zamykam oczy i pozwalam sobie na luksus, na który jeszcze nie zasłużyłam: poczuć lato.

Przeglądam się w szklanej ścianie biblioteki i myślę, że odbicie nie jest wcale takie złe. Żyłaste ciało, bez krągłości, ciemne, proste i potargane włosy, przypalony mięsień czworogłowy pod džinsami. Mam przed sobą dwa tygodnie jedwabście gładkiej skóry.

Zerkam na telefon: żadnej wiadomości.

Zostawiam za sobą plac i ruszam w kierunku uniwersytetu. Czekają na mnie już od dłuższej chwili i podejrzewam, że dziś będzie nas sporo. Zatrzymuję się przy głównym wejściu do szkoły językowej i biorę głęboki oddech. Wchodzę pewnym krokiem, stukot kłapek niesie się echem w korytarzu. Ani śladu obcych akcentów, żadnych rudych czupryn ani egzotycznych zapachów studentów jak w trakcie semestru. Jestem ostatnim Mohikaninem.

Tym razem na pewno zaliczyłam. Po raz pierwszy przejrzałam wszystkie prace domowe. Uzupełniłam zdania brakującymi wyrazami. Znalazłam porządne synonimy i przesłuchałam kasetę, na której niejaka Stephanie idzie do restauracji na fish and chips. Nie da się nie zaliczyć.

Kładę rękę na klamce i kiedy zamierzam wejść do środka, dzwoni mój telefon. Wzywa mnie piosenka *Mi carro me lo robaron* piszcząca na cały regulator. Potem oddzwonię.

Wyłączam go; jestem za bardzo zdenerwowana, żeby z kimkolwiek rozmawiać. Czeka na mnie lato. Magisterka. Przyszłość. Życie.

Ponownie biorę głęboki oddech i pukam do drzwi z wymuszonym uśmiechem. Wszystko pomaga.

– Proszę. – Suchy głos zaprasza mnie do środka. Wzrok nie podnosi się znad kartki. Brytyjska serdeczność.

– Dzień dobry, Suuus...

– Och, Rita – patrzy na mnie z absolutnym rozczarowaniem – to ty.

Och, Susan! „Suuusan”, jak każe nam się do siebie zwracać. Mogłaby być przedstawicielką społeczności *guiri*, czyli turystów, w Katalonii: pochodzi z otoczonego murami obronnymi miasteczka nieopodal Newcastle, ma ponad sześćdziesiąt lat, jest szczupła i biała i maskuje przerzedzone włosy, wygładzając je co rano za pomocą suszarki. Co nie znaczy, że co rano bierze prysznic. Zęby ma krzywe i zabarwione na żółtawy kolor niczym hipisi, którzy mieszkali w Londynie w latach siedemdziesiątych. Może i często się bzyka ze swoim mężem, ale nie widać tego po niej. W młodości musiała być niezłą laską; wyobrażam ją sobie jędrną i smukłą, mającą jedno z tych ciał pełnych obietnic. Dlatego uważa, że nie powinna tu być i pracować jako nauczycielka na tym publicznym uniwersytecie na południu Europy, skąd bliżej do Afryki niż do Yorkshire. Biedna Susan zgodziłaby się nawet poślubić jakiegoś bogacza bez koszulki ze złotej epoki Gila y Gila, który teraz pozwoliłby jej pływać na wodach Marbelli na jachcie, być może nazwanym imieniem innej kobiety, ale i tak by się jej przydał. Cokolwiek, byleby nie musiała teraz siedzieć naprzeciwko tej czterdziści lat od siebie młodszej dziewczyny, która totalnie wszystko olewa.

– Przyniosłam potwierdzenie, żeby odebrać wpis... – Wosk przykleił się do numeru referencyjnego. Próbuje go oderwać.

– Poproszę, choć to i tak bez znaczenia...

– Chwila, bo... – Nie mogę jej go dać z włosami. Cholera, Pam!

– Rita.

– Już prawie...

– Rita.

– Sekunda.

– Rita, nie zdałaś.

– Słucham... słucham?

– Nie zdałaś.

Szlag.

– Ale... To niemożliwe... Umiem zamówić fish and chips i...

– Posłuchaj, jak możesz wiedzieć, że „niezdarny” to *clumsy*, a nie potrafisz odmienić prostego czasownika w czasie przyszłym? – No, dlatego że Muzzy, najlepszy nauczyciel angielskiego, jakiego miałam, był do niczego i wcale tego nie ukrywał. – Rita, czas przyszły to trzecia klasa podstawówki!

– Ale przecież... Przecież doskonale umiem odmieniać w czasie przyszłym... – Zawsze mam problemy z czasem przyszłym, choć nauczyłam się tej odmiany po angielsku.

– Posłuchaj – Susan opiera o stół chudą klatkę piersiową – jeśli w tej chwili zdołasz przetłumaczyć zdanie: „Dziś mogłabym skończyć studia”, zaliczę ci.

– Tak po prostu?

– Tak po prostu.

– Chwila, chwila, daj mi się zastanowić...

– Teraz.

– Tudej... – Cztery słowa i skończę studia. Big Muzzy, pomocy! – Tudej aj... łil... – Muzzy! – Aj łil ken... finisz... digri.

– Do zobaczenia w przyszłym roku.

– Ale przecież powiedziałam dobrze! Zapytaj mnie, jak zamówić fish and chips!

– Żegnam, Rita.

Zamknęłam za sobą drzwi, gniotąc egzamin w ręce, i zostawiłam swoją godność oraz wymarzone lato na szarym, nijakim biurku Suuusan. Szłam korytarzem, szurając klapkami i zastanawiając się, jak powiedzieć rodzicom, że nie skończyłam studiów, ponieważ nie umiem mówić w języku, którego uczę się od ósmego roku życia. *Fuck*.

Schodzę ze ścieżki z ubitej ziemi przy szkole językowej i spoglądam na czerwone róże, które wspinają się po gorących betonowych ścianach akademika po drugiej stronie ulicy. Wyjmuję telefon, który od dłuższej chwili domaga się mojej uwagi, i odsłuchuję wiadomość głosową zostawioną przez babunię, gdy Manolo Escobar przestał śpiewać.

Prosi, żebym kupiła jej dorsza w Boquerii, tego od Carme, bo jutro do restauracji przychodzą jej przyjaciółki i chce im przygotować porządną esqueixadę. Mówi też, że nie chce jechać z Imserso do Galicji, by oglądać hodowle pąkli, bo pąkle gównem ją obchodzą, ale przede wszystkim dlatego, że z Imserso jeżdżą tylko starzy ludzie. Babunia ma osiemdziesiąt cztery lata. Narzeka, że w Alp jest tak zimno, że pelargonie nie urosły na Świętego Piotra, a następnie przez trzynaście minut i dwadzieścia osiem sekund zasypuje mnie obowiązkowymi bzdurami. No i że już dawno ich nie odwiedziłam.

Egzamin, który zrujnował mi dzień, przypadkiem wypada mi z ręki. Schylam się, żeby go podnieść, i wyrzucam do kosza.

Przyjemne słońce ogrzewa mi twarz i rozświetla esplanadę zieleni i brązów, które malują ogród przy akademiku Uniwersytetu Autonomicznego w Barcelonie. Obok pierwszego krzewu zauważam Virusa, dwudziestokilkuletniego chłopaka, który, odkąd tu przyszedł, „za moment skończy geografę”. Teraz śpiewa jedną ze swoich piosenek dla czterech studentek pierwszego roku, które przyszły obejrzyć kampus. Nowo przybyłe z entuzjazmem powtarzają refren razem z Virusem, czując się częścią wyświechtanego marzenia o studencie, który śpiewa piosenkę napisaną bez koszulki i z palcami uwalonymi tużem, a teraz gra ją na swojej gitarze pełnej antysystemowych nalepek.

Jacyś rodzice z tablicą rejestracyjną z Lleidy parkują renault 21 i wysiadają z samochodu dość leniwie, jakby wybierali się na ślub dalekiego kuzyna. Ojciec zapina guzik w spodniach i obserwuje Virusa z malującym się na twarzy wyrazem obrzydzenia i wstrętu typowym dla rodziców, którzy właśnie mają zostawić swoje idealne córki, dziewice, w czymś, co bardziej przypomina willę Playboya niż uniwersytet cieszący się pewną renomą.

Virus powiększył swoją widownię. Teraz przesadnie wczuwa się w refren, jakby śpiewał AC/DC, ale słowa brzmią mniej więcej tak: „Lubię cię bardziej niż makaron babuni / Yeah, yeaah...”.

Matka studentki z Lleidy uśmiecha się z nostalgiczną radością, przeżywając początek snu, którego bohaterką chciałaby być wiele lat wcześniej, kiedy jeszcze myślała w pierwszej osobie. Zza

samochodu, pośród walizek i dwóch worków z pomarańczami, wyłania się córka: osiemnastoletnia dziewczyna, która obserwuje pejzaż, jakby właśnie wylądowała na Księżycu albo jeszcze dalej, a otwarte usta dowodzą jej radości i przerażenia.

Jest w pół do drugiej. Słońce praży, a zapach z pojemników obiadowych, które otwierają się równocześnie w setkach otaczających mnie kuchni, przypomina mi, że jestem już spóźniona. Rany, jak mi się nie chce opowiadać moim przyjaciołom, że zawałam angielski i że bla-bla-bla. I jaka jestem głodna.

Jednak nagle, bez ostrzeżenia, świat się zatrzymuje.

Zasycha mi w gardle. Krótki podwójny dzwonek w telefonie wywołuje falę uderzeniową nadziei. Czuję wibracje połączone z dźwiękiem, który może otworzyć mi bramy do nieba: „Bip-bip, bip-bip”.

Wkładam rękę do kieszeni, jakbym musiała dezaktywować bombę w paczce, i zauważam, że otaczająca mnie scena przechodzi w zwolnione tempo.

Usta fanek Virusa śpiewają powoli i bezgłośnie. Rodzina z Lleidy stoi jak sparaliżowana, w chwili gdy ojcu z twarzą buldoga wyślizguje się jeden z worków i pomarańcze zaczynają się toczyć po asfalcie. Mam zimne dłonie i nie czuję już ciepłych promieni słońca.

Zamykam oczy i wyjmuję nokię.

## **1 nowa wiadomość**

Żeby to był on, proszę, żeby to był on.

### **GONÇAL:**

Piękna! Co słychać? Wracam jutro wieczorem. Czekam na Ciebie o 9 w moim domu. Mam niespodziankę.

Buum.

Gardło wraca do życia i wydaje coś w rodzaju krzyku, który można by przypisać rodzinie delfinów. W ciągu kilku sekund zielenie

i brązy przy akademiku zamieniły się we wspaniały ogród, jakby cień zimna się odsunął i sprawił, że na jego drodze wyrosła dzika flora. Jestem taka szczęśliwa, że widzę Virusa w bokserkach z mchu.

Czytam wiadomość sześć, siedem, trzydzieści osiem razy. Układam jutrzejszą noc z kolażu obrazków z nocy, które spędziliśmy razem: tamta ośnieżona łąka, jego łóżko w jaskini, góry Cadí od strony El Querforadat... aż histeryczny krzyk przywraca mnie do rzeczywistości.

– Ritaaaaaa! – Astrid skacze z rozpostartymi ramionami, jakby swoim szalonym krzykiem nie obudziła jeszcze wszystkich mieszkańców Marrakeszu.

Trzydzieści cztery godziny do spotkania z nim. Podchodzę do mojej paczki, patrzę w niebo i się uśmiecham.

– Rita, ślinisz się. – Demura patrzy na mnie znad okularów przeciwsłonecznych z odrobiną obrzydzenia.

– Przymknij się, głupku.

– Rita, masz na brodzie kroplę śliny. Błyszczysz się w słońcu. To fakt. – Zapala skręta.

To prawda, ale na szczęście pozostali nie widzą tej kropli, ponieważ są zbyt zajęci cieszeniem się nieuniknionym szczęściem, że skończyli studia, że wiedzą, gdzie będą pracować w przyszłym roku, że mają życiowy plan, którego mnie brakuje, że uradowani wrócą do swoich domów, gdzie ich rodziny przyrządzą paellę i wyjmą najlepszą cavę, żeby uczcić koniec pewnej ery.

– No dobrze, pani szczęśliwa, zaliczyłaś wreszcie angielski? – pyta Nofre ze swoim seksownym majorkańskim akcentem.

No to jedziemy z tym.

– Nie...

Miażdżą mnie magisterskie spojrzenia moich przyjaciół.

– Stara!!! – krzyczy Astrid.

– Co to znaczy? – pyta Demura. – Nie zdałaś? Rita, ale przecież to był pierwszy poziom, konieczny, żeby...

– Tak, wiem... Nieważne, tak naprawdę wcale mnie to nie dziwi, później o tym pomyślę – odpowiadam szczęśliwa, bo jedyne, co jest dla mnie teraz ważne, to odliczanie do spotkania.

– Ale dlaczego jesteś taka spokojna? – Astrid wciąż nie może wyjść ze zdumienia.

– A co mam robić? Nie przejmuj się, kiedyś nauczę się angielskiego, znowu zobaczę się z Susan i całymi godzinami będę z nią rozmawiać o miasteczkach Yorkshire i o Marbelli Gila y Gila.

– Boże, Rita, jak możesz żartować w takim momencie...

Może ma rację. Wraz z ukończonymi studiami miałabym jakiś plan, jakikolwiek, prowizoryczny neonowy szyld, ale teraz nie mam niczego. Pustka egzystencjalna pod każdym względem. Tak, owszem, mam jutrzejszy dzień i całą wieczność z Gonçalem.

– A więc myślę, że nadszedł czas, bym otworzył prezent na zakończenie roku – odzywa się Nofre z rzadko widywaną dumą w skromnym spojrzeniu, do jakiego nas przyzwyczaił. – Ja, Onofre Torres Mulet z Son Macià... wnuk, prawnuk, praprawnuk, mający w żyłach krew pierwszego hominida, który postawił stopę na najwspanialszej wyspie Morza Śródziemnego – wyciąga ośmiokątne pudełko zawinięte w folię aluminiową i trzyma je w dłoniach niczym ofiarę dla bogów – wręczam wam tę zieloną ensaïmadę przygotowaną z marychy, której narodzin sam byłem świadkiem i która dziś, dwudziestego dziewiątego czerwca dwa tysiące siódmego roku, poświęciła swoje bujne owoce, by zamienić się w ensaïmadowego Hulka, brakujące ogniwo współczesnego cukiernictwa.

Jednym pociągnięciem rozrywa folię aluminiową i pokazuje swoje dzieło, kreśląc ręką półkole niczym torreador. Twarze obecnych się rozjaśniają.

– Ale, ale, ale... Przecież to trzy kilogramy marychy w kształcie ensaïmady! – krzyczę.

– Możesz się śmiać, pogadamy, jak spróbujesz – mówi Nofre tak, jakby był w posiadaniu prawdy absolutnej. Wyjmuje nóż i kroi zielone ciasto na zbyt duże porcje.

Trzydzieści trzy godziny do spotkania z nim.



*Sięgnij po  
więcej!*



 [www.wydawnictwokobiece.pl](http://www.wydawnictwokobiece.pl)

 kobiece

 [wydawnictwo.kobiece](https://www.instagram.com/wydawnictwo.kobiece)